

Leszek Żebrowski, DoRzeczy, nr 14/422, 26.04-3.05.2021 r.



Najnowsza książka Kanadyjki, która przypisuje jednej Żydówce – Rywie Tajtelbaum - akcje przeciw Niemcom w rzeczywistości przeprowadzone przez AK, to tylko element zalewającej nas rzeki kłamstw

Za każdym razem, gdy spotykamy się z agresją propagandową wobec naszej najnowszej historii, traktujemy sprawę indywidualnie, jako jednostkowy wybryk jakiegoś harcownika. To jednak trwa już dziesiątki lat, ataki są coraz częstsze i brutalniejsze. Kiedyś jeszcze atakujący starali się zachować jakieś pozory prawdy, dziś już nie obowiązują żadne reguły. Na ogół histerię w sprawach polsko-żydowskiej historii kojarzymy na podstawie takich zjawisk jak publikacje Jana T. Grossa [przecież nie tylko o Jedwabnem] czy Jana Grabowskiego i jego środowiska. Jeśli spojrzymy szerzej i głębiej, to widać, że są to tylko elementy [choć bardzo

wyrazistej tej samej, długotrwałej kampanii. O co w niej chodzi?

Każdy naród, pielęgnując swą przeszłość i dziedzictwo ideowo-kulturowe, stara się przede wszystkim zachować to, co najbardziej istotne, co wchodzi do narodowego etosu. Dlatego nie czcimy pospolitych bandziorów i okrutników, a z władców stawiamy za wzór przede wszystkim tych, którymi możemy się pochwalić. I ich czyny. I z każdej epoki należy wybierać takich bohaterów, których chcemy naśladować, podobnie jak z wzorców literackich. Takie powinny być lektury szkolne. Czy tak jest? Od dawna już nie...

KRUSZĄC ETOS

Mamy bowiem do czynienia z aktami coraz bardziej brutalnej destrukcji, dobieraniem takich fragmentów dziejów, na które można dziś patrzeć z zażenowaniem, a z biografii osób zasłużonych wydobywaniem wyłącznie tego, co ich etos kruszy. Co się dzieje jednak, gdy takich elementów dziejów czy życiorysów brakuje, gdy są one nieistotne? Można je odpowiednio przerabiać, a tam, gdzie wymaga tego „potrzeba”, można dowolnie dorabiać elementy destrukcyjne. Dzieje się to na różnych poziomach, bo przecież kropla draży skalę.

Najbardziej wrażliwe z obecnego punktu widzenia są stosunki polsko-żydowskie w okresie drugiej RP, wojny i okupacji lat 1939-1945 oraz pierwszych lat powojennych, czyli podstaw i budowy Polski Ludowej. Wystarczy w to wszystko odpowiednio ingerować, wrywać z fundamentów najważniejsze fragmenty i „dokładać” w ich miejsce czynniki rozsadzające.

Jest to działalność wielowątkowa i wielopłaszczyznowa. Od fałszowania źródeł historycznych (co jest działalnością szczególnie haniebną) do konstruowania nieuprawnionych uogólnień. Wybitny humanista hiszpański Miguel de Cervantes w swej bogatej twórczości wyraził opinię, że fałszywych historyków należałoby karać tak jak fałszerzy pieniędzy: karą śmierci. To było bardziej ostrzeżenie przed tolerowaniem groźnych kłamstw niż postulat przejścia do czynów, ale porównanie było celne. Celowe psucie historii jest bowiem tak samo szkodliwe dla tożsamości narodowej, jak psucie pieniądza dla gospodarki.

Najnowsze osiągnięcie propagandy historycznej z tego zakresu to książka Judy Batalion „The Light of Days: The Untold Story of Women Resistance Fighters in Hitler's Ghettos”. Autorka lansuje w niej m.in. Rywę Tajtelbaum i odkrywa przed światem nieznane dotychczas nam osiągnięcia, na miarę co najmniej kilku gigantów. Oto w październiku 1942 r. wysadziła „kilka linii kolejowych” - a przecież tu chodzi o AK-owską akcję „Wieniec”, w której brały udział co

najmniej dziesiątki żołnierzy! Wcześniej przywłaszczyli ją sobie komuniści, odbierając za to pochwały z Moskwy. Teraz mamy konkrety - dokonała tego samodzielnie jedna żydowska bohaterka.

Inny przykład jej niesamowitych wyczynów to samodzielna akcja w siedzibie gestapo w Warszawie, do której po prostu weszła i zastrzeliła kilku funkcjonariuszy (z pistoletu z tłumikiem), a następnie... wyszła. To bajki dla osób, które nie mają wiedzy o realiach okupacji. Ale kto dziś je zna, szczególnie na Zachodzie? Książka Judy Batalion wychodzi równolegle w tłumaczeniach na 15 (!) języków (portugalski, czeski, fiński, francuski, niemiecki, hebrajski, polski, rosyjski, hiszpański, szwedzki, litewski, turecki, rumuński, ukraiński, włoski), i to dopiero na początek.

LEPIEJ W NAZISTOWSKIM OBOZIE NIŻ U POLAKÓW

Czy Polacy w ogóle wysadzali jakiekolwiek pociągi? Być może nie. Wyjaśnia to Philip Bialowitza w książce „Bunt w Sobiborze. Opowieść o przetrwaniu w Polsce okupowanej przez Niemców” (Warszawa 2008). Autor uciekł z Sobiboru i miał naprawdę niezwykle przygody: „Po trzech godzinach marszu spotkaliśmy grupę dziesięciu polskich partyzantów, w tym dwie kobiety. Oddział był dobrze uzbrojony, mieli broń i amunicję. Zorientowaliśmy się, że jesteśmy w bardzo delikatnej sytuacji. Mogli nam pomóc przetrwać, ale też mogli nas zabić za to, że jesteśmy Żydami, lub z powodu posiadanych przez nas pieniędzy i innych wartościowych rzeczy”. Czy można było wynieść coś z Sobiboru? Widocznie można. Ponurych wspomnień Bialowitza ciąg dalszy wygląda tak: „Porozmawiali ze sobą i zaproponowali, abyśmy się do nich przyłączyli. Kto jednak wie, czego naprawdę chcieli? Może potrzebowali trochę więcej czasu, by zdecydować, jak bez użycia broni nas obrabować i zabić, tak aby nie zwracać niczyjej uwagi”. Jednak ich nie zabili, bo mieli określony cel: „Nauczyli nas strzelania i zakładania min. Wkrótce sami staliśmy się żołnierzami. Nasze pierwsze zadania polegały na zakładaniu min przy szlakach kolejowych”. Bo to takie proste było, prawda? Polacy musieli się specjalnie szkolić miesiącami, wysłać do kraju cichociemnych, a było takie łatwe rozwiązanie. Wystarczyło ratować Żydów, dać każdemu minę i wojna szybko by się skończyła. Ale happy endu nie było, ponieważ polscy partyzanci wrócili do pomysłu zabicia ocalałych z Sobiboru: „Kilka tygodni minęło bez większych problemów. [...] W nocy wysłali nas na tory kolejowe, żebyśmy założyli miny. [...] Kiedy szliśmy w stronę torów, zaczęli do nas strzelać. Uciekliśmy, ratując życie”. Autor miał wtedy 16, może nawet tylko 14 lat (co jest bardziej prawdopodobne). I taki był pojętny, że zaraz po wojnie wylądował w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego (PUBPJ w Zamościu). Tam oczywiście Polacy chcieli go zabić, ale przecież nie jako ubekę, tylko Żyda. Bialowitza wyjechał do Niemiec, gdzie wreszcie spokojnie odetchnął w... byłych obozach koncentracyjnych. „Warunki panujące w tych obozach nie były idealne - niektóre ulokowano w miejscach byłych nazistowskich obozów Dachau i Bergen-Belsen - ale przynajmniej nie zdarzały się tam antysemickie akty przemocy, powtarzające się w Polsce i innych miejscach”. Dlaczego to nie jest dziwne? Bo nie są to wspomnienia wyjątkowe, tylko coraz bardziej typowe. I nie ma kto ich analizować i kwestionować.

Nie są to jednorazowe wybryki i wypadki przy pracy, wynikające z niewiedzy, niechlujstwa itd. To jest masowa kampania dezinformacyjna, trwa od kilkudziesięciu lat, a jej celem jest stworzenie „nowej” historii, w której prawie wszystko będzie na odwrót. Temu też służyły „poprawki” dokonywane w relacjach składanych w archiwach Żydowskiego Instytutu Historycznego. Typowy przykład, jak na nich tego dokonywano, czyli swoista cenzura - fragment jednej z nich brzmi następująco: „Sprzątnęliśmy kilku żydowskich agentów gestapo. Razem z koordynacją sprzątnęliśmy prowokatora. Zastrzelił go Sewek Nulman”. Ale po obróbce fragment ten brzmi już inaczej: „Sprzątnęliśmy kilku agentów gestapo. Odznaczał się w tych akcjach towarzysz Sewek Nulman”. Którą wersję cytować? Czy oryginalną, o żydowskich agentach gestapo, czy też o „towarzyszu” Nulmanie, co ma sugerować, że najdzielniejsi Żydzi byli komunistami?

BANDZIOR HEROSEM

W haggadzie nic nie może się zmarnować, wszystko da się przerobić i dopasować do aktualnych potrzeb. Jeden z największych bandziorów, złodziej, recydywista i morderca Izrael Ajzenman „Lew” w historiografii żydowskiej stał się jednym z najbardziej zasłużonych, dzielnych... partyzantów. A jakie miał dokonania! Oto jedno z nich (pisownia zgodna z oryginałem): „25 marca [1943 r.] oddział przeszedł ciężką obławę w której brało 20 tysięcy esesowców. Strata własna 6 zabitych. [...] Niemców dokładnie niewiadomo ile zabitych, 3 samochodów rannych 4 zabitych ilości nie wiadomo. [...] W lasach Starachowickich [1944 r.] zostaliśmy okrążeni przez 8 tysięcy esesmanów własne straty 6 zabitych [...]. 65 zabitych i 40 rannych esesmanów”. Nic dziwnego, że oddział o nazwie „Lwy” trafił do poważnych opracowań, książek i encyklopedii. Ale nigdzie nie ma mowy o jego prawdziwych dokonaniach. W „Encyclopaedia Judaica” (tom 13, Jerusalem - New York 1971, s. 141) zamieszczona jest mapa do hasła „Partisans”, która obejmuje tereny II RP i zachodnie fragmenty Związku Sowieckiego. Jest na niej oznaczony teren działania żydowskiego oddziału „Lions” („Lwy”) pod dowództwem Ajzenmana. „Lwy” trafiły również do legendy tej mapy, aby bardziej utrwalić to czytelnikowi.

Banda „Lwa” najbardziej osławiła się pacyfikacją miasteczka Drzewica 22 stycznia 1943 r. Mieszkańcy zostali obrabowani, a siedmiu z nich zamordowano w okrutny sposób. Co z tym można było zrobić? Stefan Krakowski (mjr Shmuel Erlich, po kursach MBP oficer komunistycznego wywiadu wojskowego), gdy był już historykiem w ŻIH (a po wyjeździe z Polski Ludowej został dyrektorem instytutu Yad Vashem w Jerozolimie), przypomniał jego postać i dowodzony przez niego oddział żydowskich partyzantów GL w całkiem nowy sposób. W „Biuletynie Żydowskiego Instytutu Historycznego” napisał bowiem: „[...] oddział dokonał ataku na posterunek policji niemieckiej w Drzewicy. Partyzanci zabili 7 hitlerowców, w tym komendanta posterunku”. Krakowski bardzo dobrze wiedział, co się stało w Drzewicy, korzystał bowiem z niedostępnych wówczas na zewnątrz materiałów archiwalnych. Sfałszował tę historię z całą premedytacją, od początku do końca. W małej Drzewicy nie było posterunku niemieckiej

policji. Czyżby tym „komendantem posterunku” stał się dla niego zamordowany i obrabowany August Kobyłański, dyrektor fabryczki Gerlach?

Dzisiaj mało kto jest w stanie opanować całą tzw. literaturę przedmiotu. Publikacji na temat tego okresu jest w świecie coraz więcej, podobnie jak w Polsce. Czy ktoś to systematycznie śledzi, robi rejestr, usiłuje wyjaśniać i prostować? Jeśli nie, to taka specyficzna „wiedza” będzie się po prostu utrwałać, tym bardziej że następni autorzy powołują się na to, co już jest opublikowane, nie podchodząc do tego ktytycznie. A opinii nie mamy w świecie dobrej i od razu widać, czyja to jest zasługa.

SZKALOWANIE AK

Faye Schulman (kiedyś w Polsce nazywała się Fajna Łaziebnik), która pochodziła z małego kresowego miasteczka Łunin, a „poprawiła” jego nazwę (z powodów ideologicznych?) na... Lenin, w latach okupacji przebywała w sowieckiej brygadzie „im. Mołotowa”. I tak zapamiętała tamten czas: „Żydowscy partyzanci odnajdywali się w lasach, walcząc z mnóstwem lokalnych band, popieranych przez nazistów, które były szczególnie antysemickie i zawsze uważały na Żydów. Były to różne grupy bandyckie: AK-owcy, bulbowcy, banderowcy i własowcy...” Fajna vel Faye jednym tchem wymienia nazwy grup bandyckich, na pierwszym miejscu stawiając żołnierzy AK. Książka została wydana w 1995 r. w Toronto przy poparciu oficjalnych instytucji kanadyjskich. Autorka opowiadała swe „doświadczenia” z partyzantki sowieckiej również w „szkołach publicznych i na uniwersytetach, na seminariach nauczycielskich i zebraniach ekumenicznych”, co raczyła zaznaczyć w przedmowie, a nawet zamieściła zdjęcia z takich spotkań. Być może dla młodych odbiorców słów „świadka historii” jej słowa pozostaną w nich na zawsze jako jedyne źródło wiedzy.

Armia Krajowa szkalowana jest od bardzo dawna, i to praktycznie już nie szokuje. Czytelnik anglojęzyczny został do tego odpowiednio przygotowany, patronat zaś dają odpowiednie instytucje. Dlatego w publikacji Andre Steina „Hidden children: forgotten survivors of the Holocaust” (Toronto 1993), wydanej przy finansowej pomocy kanadyjskiego ministerstwa ds. wielokulturowości, w rozdziale o Abrahamie Foxmanie, działaczu B'nai B'rith wysokiego szczebla, atitor mógł zawrzeć następujące określenie: „AK, pronazistowska, nienawidząca Żydów polska organizacja ekstremistyczna, która wyszukiwała i zabijała Żydów”.



O WSPANIALI NIEMCY!

Powstanie warszawskie i w ogóle Polskie Państwo Podziemne są ulubionym celem takiej propagandy. Wielce ceniony publicysta żydowski Reuben Ainsztein napisał przecież:

„Polscy faszyci podczas powstania [warszawskiego] prawdopodobnie zabili więcej Żydów niż Niemców”.

Późniejsze publikacje „Gazety Wyborczej” (1994 r.) o powstaniu warszawskim i masowym zabijaniu w nim Żydów były już tylko bladym pokłosiem Ainszteinów i innych autorów.

Doktor Icchak (Henryk) Rubin uznał, że „stosunek Polski Podziemnej i całej prawie ludności polskiej do Żydów powodował, że getto i obóz pracy lub obóz koncentracyjny były jedynymi miejscami na świecie, które dawały Żydom nikłą nadzieję i szansę na przetrwanie”. Tutaj też po latach odnaleźć można echa we wspomnianej wcześniej gazecie, jakoby Żydzi ukrywali się przed Polakami w gettach, bo tylko tam mieli szansę przeżyć. I być może dlatego obecnie negowany jest fakt, że ci Żydzi, którzy przeżyli okupację gdzieś w ukryciu, mogli to zrobić wyłącznie z pomocą Polaków. Zapewne byli całkowicie samowystarczalni, w dodatku przez kilka lat.

Ale może tak nie było, może mogli jednak na czyjąś bezinteresowną pomoc liczyć? Są podstawy, aby tak myśleć, że pomagali im... Niemcy. Doktor Tobiasz Cytron we wspomnieniach zatytułowanych „Dzieje zbrojnego powstania w getcie białostockim” (Tel Awiw 1996; książka faktycznie ukazała się w Polsce, została wydana ze środków jednej z centralnych instytucji, ze wsparciem jej kierownika): „Dzięki pomocy Niemców powstańcy w getcie i partyzanci dostawali broń, fałszywe dokumenty, kenkarty, a niejednokrotnie również miejsce schronienia w czasie łapanek. Wspomniani Niemcy udzielali również moralnego wsparcia partyzantom w lasach. Powstańcy popadali niejednokrotnie w trudne sytuacje, z których wyjść mogli tylko dzięki pomocy owych Niemców”.

To jest dopiero nowatorska wizja naszych najnowszych dziejów. Skoro bowiem po wojnie wypędzaliśmy Niemców, to nasza wina jest podwójna, gdyż dotknęło to „sprawiedliwych”, niosących Żydom nieocenioną pomoc! A na pytanie, że skoro to Niemcy udzielali Żydom „schronienia w czasie łapanek”, to kto ich łapał, odpowiedź jest już oczywista. Po wojnie nie było już, niestety (dla ocalonych Żydów), społeczności niemieckiej i jej zbrojnych formacji. Nie miał już kto ich bronić przed Polakami. Dlatego „AK-owcy szaleli wszędzie, na drogach, w pociągach. Zatrzymywali jadące pociągi, wyprowadzali z nich Żydów i strzelali do nich. Zdarzało się, że wdzierali się do żydowskich mieszkań i zabijali na miejscu wszystkich mieszkańców”. Odpowiedzialne za to były oddziały AK i „rząd polski w Londynie”. Było zatem jeszcze gorzej niż podczas okupacji, bo zabrakło niemieckich obrońców. Niemcy ostrzegali przecież polskich ludobójców: „Kto prześladowe Żydów - dostaje kulę w łeb!”. Po wojnie tak bardzo zabrakło dobrych Niemców...

I nie łudźmy się, że to się kiedyś bezpowrotnie skończyło. Polska Ludowa skutecznie i krwawo spacyfikowała wprawdzie „wrogów ludu” i wszelką „reakcję”, ale te niedobite potwory wypełzły na powierzchnię po 1989 r. i dosłownie szaleją, siejąc strach i przerażenie. Publikacja, dotowana z budżetu polskiego państwa, nie pozostawia nam co do tego złudzeń. Żydzi musieli ponownie zejść do podziemia i żyć „na aryjskich papierach”.

Tak np. uważa osobnik posługujący się pseudonimem: „Po zmianie ustroju w 1989 r. w Polsce popadłem ponownie w lęk i rozdwojenie jaźni. [...] Żyję jak niektórzy Żydzi w czasie okupacji na aryjskich papierach. Boję się swego otoczenia. Nie ujawniam swego pochodzenia. Przyczyną jest legalizacja partii skrajnie nacjonalistycznych, głoszących oficjalnie antysemityzm. Uznano za bohaterów narodowych żydobójców spod znaku NSZ. Brak odpowiedniej reakcji ze strony władz państwowych, mediów oraz światłej części ludzi nauki i kultury polskiej, jak i władz kościelnych. [...] Obecnie coraz częściej odczuwam lęk przed zwycięstwem prawicy nacjonalistycznej. [...] W ogóle czuję się dziś tak jak w punkcie wyjścia niniejszych wspomnień, kiedy to chłoptasie z Hitlerjugend, SS i różnych Sonderkommando zaczęli swoje dzieło wprowadzania w okupowanej Polsce nowego ładu w Europie” (Izydor Landersdorfer „Na liście Schindlera” [w:] „Losy żydowskie. Świadectwo żywych”, pod red. Mariana Turskiego,

Stowarzyszenie Żydów Kombatantów i Poszkodowanych w II Wojnie Światowej, Warszawa 1999).

JADOWITA NARRACJA

Grunt pod narastającą jadowitą propagandę był długo i starannie przygotowywany, pozostawał ponadto bez odpowiedniego odzewu, nic dziwnego zatem, że np. Jan T. Gross mógł sobie pozwolić na tak bardzo zakłamany opis sprawy Jedwabnego („Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka”, Sejny 2000). Książeczka natychmiast została przyjęta z entuzjazmem i poszła w świat. Adam Michnik w niemieckim wydaniu „Sąsiadów” uznał, że „swą książką Gross wpisuje się w długi szereg najświetniejszych polskich intelektualistów, począwszy od Mickiewicza i Słowackiego, a kończąc na Gombrowiczu i Miłoszu” (A. Michnik, „Rachunek polskiego sumienia”, „Rzeczpospolita” 5 września 2001 r.).

A sam autor dodawał sobie animuszu i splendorów, uznając, że jego dzieło jest „publikacją naukową, napisaną w oparciu o dostępną dokumentację przedmiotu i skrupulatne badania. [...] łatwo stwierdzić, że jest ona opatrzona przypisami i odnośnikami” (wypowiedź J.T. Grossa na portalu Gazeta.pl, 17 maja 2001 r.). Jednakże rzetelność publikacji naukowej nie polega na tym, że są w niej przypisy. Można je przecież znaleźć PRL-owskiej politgramocie, w edycjach przemówień Stalina, Gomułki, Bieruta, Jaruzelskiego... Nauka polega na wszechstronnym zbadaniu wszystkich dostępnych źródeł i ich starannej weryfikacji. Tego Gross przecież nie zrobił, co więcej – mimo ujawniania dodatkowych okoliczności, przeczących tezom autora, nie odstąpił od nich nawet w nowych wydaniach (krajowych i obcojęzycznych).

Z prawdziwym entuzjazmem przyjęte zostało natomiast buńczuczne pouczenie Grossa, dotyczące metodologii badań: „Jeśli chodzi o warsztat historyka epoki pieców, oznacza to, w moim mniemaniu, konieczność radykalnej zmiany podejścia do źródeł. Nasza postawa wyjściowa do każdego przekazu pochodzącego od niedoszłych ofiar Holokaustu powinna się zmienić z wąpiącej na afirmującą”.

Jednak wobec natłoku takich publikacji jak podane powyżej (a to tylko niektóre, nieliczne przykłady) jesteśmy zmuszeni do postawy odwrotnej. Od afirmacji oczywistych kłamstw do postawy co najmniej wąpiącej. Zresztą droga jest już przetarta. Profesor Andrzej Żbikowski z ŻIH, zaniepokojony sięganiem do takich źródeł w celu opisywania postaw ludności żydowskiej podczas okupacji, zauważył, że „jedyną prawidłową metodą badawczą jest brać za pewnik tylko te informacje, które znajdują potwierdzenie w kilku, całkowicie odrębnych źródłach. A że wynik będzie wówczas mniej imponujący, mniej będzie przestępców i ich dowiedzionych zbrodni - cóż, taka dola uczciwego historyka”.

Lepiej późno niż wcale - takie wskazanie powinno być (nie tylko dla nas, oczywiście) koniecznym imperatywem. Inaczej zalew publikacji jeszcze bardziej zakłamanych niż powyżej przytoczone zmiecie naszą świadomość narodową i nie będziemy w stanie pozbyć się ludobójczego piętna. W tym znaczeniu pojęcie „pedagogika wstydu” nabiera prawidłowego sensu. Lata temu przewodniczący Komisji Koordynacyjnej Organizacji Żydowskich w RP (pułkownik „ludowego” WP) oświadczył: „Mamy za sobą początek drogi. Teraz trzeba przejść do pracy wychowawczej w parafii, szkole podstawowej”. To się przecież dzieje. Pseudoedukacja zaczyna się w „niewinnych” książeczkach dla małych dzieci, przez podręczniki szkolne i akademickie, materiały dla nauczycieli, do sztuk (?) teatralnych i popularnej literatury, gdzie takie wtręty są czymś oczywistym i nawet wskazanym.

Czy już się mamy przygotowywać do wrywania „polskich” drzewek w parku Yad Vashem w Jerozolimie i sadzenia tam zupełnie nowych? To nie jest śmieszne.

Opracował: Rami Abramowicz – Izrael